



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Błagać będziesz tysiąc razy o śmierć zanim śmierć nadejdzie... (str. 143.)

NIEZNAJOMA Z PODDASZA

powieść przez
Bronisławę Szorawską.

Mróz był silny, zaostrzony podmuchem północnego wiatru, który z natrętną złośliwością wciskał się, to najmniej- szymi szczelinami do mniej dobrze zaopatrzonych mieszkań, to za kołnierze i w rękawy biedaków, którzy w najprzykrzej- szej porze roku do pracy spieszyć muszą.

Śnieg, grubą warstwą leżący na ulicach, ubity był twar- do, sanna była wyborna, w miejscach zaś niedostępnych dla jeżdżących i pieszych, puchową swą śnieżną białością olśnie- wał oczy, migocącymi w jego kryształkach blaskami, wszyst- kich kolorów tęczy.

Szeroką ulicą, szła spieszenie dziewczynka lat dwunastu, otulona w ciepłą salopkę, na głowie miała czapeczkę i szalik, okręcony i zawiązany widać troskliwą ręką matki.

Za nią szła służąca niosąc tekę z książkami. W bra- mie dużej kamienicy, dziewczynka odebrała tekę z rąk słu-

zającej, i czy z przyzwyczajenia, czy z prawdziwej dobroci, mającej źródło w sercu, rzekła uprzejmie

— Dziękuję ci Antosiu.

Służąca życzliwym uśmiechem przyjęła te słowa.

— A niech panienka nie wychodzi z pensyi aż po panienkę przyjdę — rzekła troskliwie.

— Może nie będziesz miała czasu.

— Cóż znowu — odrzekła wzruszając ramionami — zawsze czas znajdę gdy go dla panienki potrzeba.

Strzepnęła jakiś proszek z salopki dziewczęcia, spojrzała na nią jak się patrzy na kogoś bardzo miłego i rzekła:

— Niech panienka idzie na górę, w bramie stać nie trzeba, a kto wie czy już nie późno, ani jedna panienka już nie idzie.

— Idę Antosiu, idę, a nie spóźnij się po mnie.

— Niech panienka będzie spokojna.

Panienka spiesźnie wbiegła na schody, a Antosia poprawiwszy chusteczkę na głowie, podążyła z koszykiem do miasta.

Dziewczynka przebiegła już kilka schodów, gdy przechyliwszy się przez poręcz, spojrzała na dół i zatrzymała się.

Wzrok jej, z wyrazem współczucia, spoczął na czarnym, kudłatym psiaku, przytulonym do ściany. Chudy był i wynędzniały, drżał cały od zimna, a może i głodu.

Spoglądał i on na dziewczynkę, a w spojrzeniu biednego zwierzęcia musiała być błagalna prośba o litość, którą tkliwe serduszek zrozumiało widocznie, bo panienka wyjęła paczkę starannie w papier zawiniętą, wydobyła z niej bułkę z masłem i wołową piecenią, a wzięwszy połowę, rzuciła na dół.

Trudno opisać pośpiech i chciwość, z jaką pies rzucił się na tę ucztę, którą spożył w mgnieniu oka.

Dziewczynka westchnęła, spojrzała na drugą połowę bułki, i rzuciła psu resztę, a zmiąwszy papier, spiesźnie pobięła na górę.

Lekcyę jak zwykle szły jej bardzo dobrze, była bowiem jedną z pierwszych w swej klasie.

Gdy na pauzę panienki wyjmowały swe zapasy, przyniesione na drugie śniadanie, ze zdziwieniem zauważyły, że Wańdzia Brzeska, zamiast posiłku otwiera książkę i zaczyna przepowiadać sobie lekcję, na następującą godzinę.

— Czy ty Wańdziu nie przyniosłaś sobie śniadania? — zapytała jedna z najbliższych siedzących.

— Czyś zapomniała? — dodała druga.

— A może za karę mama ci nie dała — rzekła któraś z mniej delikatnych.

Na te wszystkie pytania Wańdzia nie odpowiadała, na twarzyczkę jej tylko wystąpiły rumieńce, co utwierdziło ostatnią z pytających, że domysł jej o karze był prawdziwy.

— Podzielę się z tobą mem śniadaniem — rzekła po cichu najpierwsza — mam tak dużo, że dla nas dwóch wystarczy.

— Dziękuję ci Ado, jeść mi się nie chce, mama zresztą nie zapomniałaby o mnie, ani też głodem karała — odrzekła rozżalona trochę — a nie jem, bo... bo mi się nie chce, wierź mi.

— W tem coś jest — zawołała ta z panienek, która przyczynę odgadnąć chciała koniecznie — przyznaj się Brzeska coś zrobiła ze śniadaniem. A możeś zgubiła? co? no, w takim razie dam ci jabłko, mam dwa, wyborne, proszę cię.

Dziewczynka z pospiechem podała koleżance rumiane jabłuszko.

— Dziękuję ci, doprawdy nie jestem wcale głodna — broniła się Wańdzia.

Ale z koleżankami nie łatwa była sprawa, nadto wzięły do serca sprawę drugiego śniadania jednej z pomiędzy siebie, bo ze wszystkich stron posypały się ofiary.

Jedna podawała jabłko, druga bułkę z masłem, były i ciastka, był chleb świętojański, orzechy, karmelki, szynka, pieczeń, jednym słowem biedna Wańdzia musiałaby zachorować z pewnością, gdyby od każdej, choć cokolwiek przyjąć chciała.

Broniła się więc jak mogła, a nie chcąc jednej obrazić, od żadnej nie przyjmując nie chciała, skończyło się jednak na tem, że zjadła karmelek i dwa orzechy, a w chwilę śniadanie Wańdzi poszło w zapomnienie, jakiś nowy przedmiot pochłoniął uwagę panienek, których wrażliwy umysł i żywość właściwa wiekowi, nie dały długo zatrzymywać się nad ładą kawałkiem bułki. Tak przynajmniej utrzymywała Ada.

— E, co tam — rzekła lekceważąco — byłam ciekawa, to prawda, ale chwilę tylko, a kiedy nie chce się przyznać dla czego niema dziś śniadania, to mniejsza, długo nad tem myśleć nie będę.

— Masz słuszość — rzekła Wańdzia — myśleć nie warto nawet o tem. A umiesz ty zoologią? — dodała spiesznie, rada, że rozmowa na inny może przejść przedmiot — dzisiejsza lekcya trudna.

— Ale nie dla ciebie — odrzekła Ada z westchnieniem — gdybym miała twoje zdolności.

— Powiedz lepiej więcej pilności — odezwiała się któraś z dalszej ławki, która starannie chowała do teki łupinki od orzechów — gdybyś tak pracowała jak Brzeska, miałabyś takie stopnie jak ona. Co kto lubi.

— Nie do ciebie mówię — rzekła zaczerwieniona Ada — najlepiej nie wtrącać się w cudze sprawy i pilnować swoich stopni.

Byłoby może przyszło do prawdziwej sprzeczki, ale pauza minęła, profesor wszedł do sali i w jednej chwili wróciło wszystko do porządku.

Gdy miały się panienki rozchodzić i ruch panował jak w ulu, Ada odciągnęła Wańdzię na stronę i rzekła cicho, kładąc jej rękę na ramieniu:

— Słuchaj Brzeska, gdy kiedy nie będziesz miała śniadania, powiedz tylko mnie jednej, ja się z tobą chętnie podzielę, i nikt o tem wiedzieć nie będzie. Poco mają pytać te ciekawskie.

Zapomniała, że i ona była ciekawą, ale obecnie mówiła z głębi poczciwego serca.

— Dziękuję ci serdecznie — odrzekła Wańdzia — wierzę mi Ado, że to nie żadna kara ani przypadek, z własnej, dobrej woli nie jadłam dziś śniadania.

— Wiem! — zawołała Ada z żywością — wiem, dałaś twoje śniadanie ubogiemu, ty masz dobre, tkliwe serce, znamy cię z tego.

Wańdzia zarumieniła się znowu, pochwała ta nie była jej miłą.

— Ależ doprawdy, rzecz ta nie warta aby o niej tyle mówić — rzekła, ściągając brew lekko — lecz żebyś mi nie przypisywała czynu którego nie popełniłam, to ci powiem, że *ubogiego* nie widziałam dzisiaj.

— No, daj buzi i nie gniewaj się, a przyjdź do mnie w czwartek, pamiętaj, że to moje imieniny — mówiła Ada z pospiechem, bo sala wypróżniała się coraz więcej — zaprosiłam już Stasię, Walerkę, Helenkę i Józję, poproszę jeszcze Zosię i Anielkę, zabawimy się wybornie, różne gry przysposobiam. Przyjdziesz, prawda?

— Przyjdę, jeżeli mama pozwoli — mówiła Wańdzia, ubierając się w salopkę.

— Przyprowadź z sobą i Władzia, to rozumny i porządny chłopiec, pamiętaj przyprowadź go.

— Dobrze — odrzekła Wańdzia i panienki razem opuściły salę.

Lecz na korytarzu Ada przyłączyła się do stojących tam panienek, a Wańdzia uśmiechem powitała wbiegającą na schody spiesźnie Antosię.

— Ledwie, że się nie spóźniłaś — rzekła Wańdzia odając jej tekę.

— Ale jak się panienka dowie dla czego, to wyskoczy do góry z radości — rzekła Antosia z tajemniczą miną.

— Co takiego? — mów Antosiu — prosiła Wańdzia.

Schodziły już ze schodów, Antosia uśmiechała się z zaciekawienia panienki.

— Za chwilę się wyda — rzekła — nareszcie muszę panience powiedzieć, przyjechała pani z Wólki, i kazała po panienkę przyjechać swemi sankami. Ot, są tutaj — dodała, pokazując na stojące przed bramą sanki, zaprzężone w kare, piękne konie.

Wańdzia zarumieniła się z radości i z uśmiechem życzliwym skłoniła głowę woźnicy, który ją witał zdjęciem czapki.

— Niech panienka siada — rzekł, odejmując koc duży — obwiozę panienkę po całym mieście.

— O! dobrze mój Walenty — zawołała z żywością — jeszcze w tym roku nie jeździłam sankami. — Czy mogę wziąć parę koleżanek? — zapytała ciszej.

— Ile się zmieści — odpowiedział uprzejmie woźnica, który znał Wańdzię od małej dzieciny — niech panienka zabiera, byle prędzej bo konie się niecierpliwią.

— Ado! — zawołała Wańdzia — i ty Stasiu, chodźcie, przejeździemy się.

Przyjęto zaproszenie z żywością i wesołe panienki pod opieką Antosi przez kilkanaście minut używały przejażdżki, zwłaszcza, że sanna była wyborna.

Gdy wysiadała przed domem z sanek, Wańdzia ze zdziwieniem największem spostrzegła owego biednego, wychudzonego psa, któremu dała rano swą bułkę, jak robiąc bokami ze zmęczenia, tulił się do nóg jej, jakby się lękał, aby go od niej nie odłączyono.

Antosia psa ofuknęła, ale nie zwracała na niego wielkiej uwagi, miała na myśli, że tam może do usługi bardzo potrzebna, a tu kawał czasu zeszło na przejażdżkę z panienką. Zostawiając Wańdzię w sieni, sama wbiegła na prawo do kuchni, aby się dowiedzieć co się tam robi.

Wańdzia wahającym wzrokiem spojrzała na biednego, brzydkiego psiaka, ani wiedząc co z nim począć.

— Biedulek — szepnęła — co ja z tobą zrobię?

Pies jakby zrozumiał o co chodzi, podniósł ku niej głowę, a potem rozejrzał się po sieni. Wańdzia klasnęła w ręce.

— Znalazłeś sam sobie mieszkanie — zawołała głośno prawie.

Pobiegła ku drzwiom przeciwnym, tam pod schodami była komórka maleńka, nieużyteczna, Wańdzia otworzyła drzwi, wpuściła swego biedulka, jak go nazwała, a przykazała mu aby cicho siedział, pobiegła spiesźnie do pokoju.

Po obiedzie, nie zwróciwszy niczyjej uwagi, zanosła mu ubierane resztki, a pies zdawał się pojmować, że nie wolno mu pokazywać się jawnie, tulił się w najciemniejszy kącik swej kryjówki, szczęśliwy widocznie ze swego mieszkania i swej opiekunki.

Wieczorem, okrywszy się ciepłą chustką, Wańdzia wbiegła do drwalni, wiedziała, że tam jest słoma, i w towarzystwie Biedulka, którego z sobą wzięła, uwinęła pęczek aby go zanieść pod schody, na posłanie dla niespodziewanego lokatora.

Obecność gości ułatwiła jej to krzątanie się, przemyślała tylko nad tem, jak to będzie nadal, czy biednego włóczęgi nie wypędzą w świat, na nową biedę i nędzę.

Lecz nie, nie, jej mateczka tak dobra, zrozumie położenie tego zbłąkanego widać biedaka, pozwoli jej opiekować się nim i nie pożałuje mu kącika pod schodami i okruszyn ze stołu. Wprawdzie rodzice byli przeciwni chowaniu psów w mieście, gdyż przyczyniało to kłopotu niemało, ale teraz, takie wyjątkowe zdarzenie, że chyba odstąpią od swej zasady.

Myśli te snuły się jej po głowie gdy się udała na spacer, a ta niepewność losów Biedusia, długo jej zasnąć nie pozwoliła.

Dzień następny przeszedł również szczęśliwie, Bieduś siedział cichutko pod schodami, radosnem skomleniem i łaskaniem się, witając przynoszącą mu coś dziewczynkę.

Tajemnica ta przed matką, ciążyła jej jednak na sercu, wyszukiwała niecierpliwie sposobności aby jej mogła opowiedzieć wszystko i przyszłość Biedusia polecić nadal jej opiece.

Gdy przed wieczorem goście z Wólki odjechali, a mama uspokoiwszy się nieco z zajęciami, usiadła na swem zwykłym miejscu przy stolyczku pod oknem, Wańdzia uklękła przy jej nogach na małym stołeczku, i opowiedziała rzecz całą szczerze, z najdrobniejszymi szczegółami.

— A teraz mateczko droga — rzekła na końcu — Biedusia mego twojej oddaję opiece, czyli, twemu sercu, bo jeżeli pozwolisz, to już ja się nim opiekować będę.

Na to wszedł ojciec, znów cała sprawa powtórzoną została, a rodzice widząc wzruszenie dziewczynki, niepokój malujący się w jej oczach, pozwolili Biedusia przyjąć za domownika.

Radości Wańdzi opisać trudno, ze łzami prawie całowała ręce rodziców, wybiegła aby zawołać Biedusia i przedstawić go wszystkim.

Pies zdziwiony postępował za młodą swą panią, a wszedłszy do pokoju zatrzymał się przy drzwiach, lęklwym wzrokiem spoglądając po obecnych.

Ojciec rozśmiał się.

— Więc to ten brzydal jest twoim protegowanym? — zapytał.

— On nie jest tak brzydkim, ojculk — rzekła Wańdzia, stając w obronie Biedusia.

(d. c. n.)

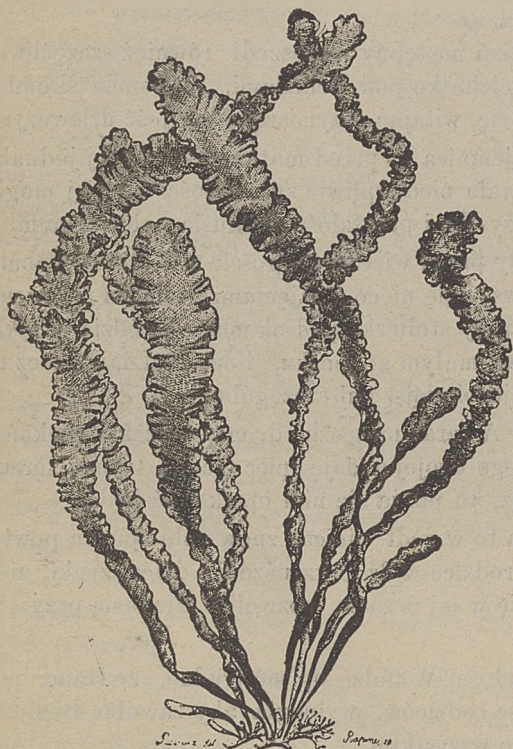
ŻYCIE W OCEANIE

PRZEZ

Dz. M. Stefanowską.

Wróćmy teraz do naszych *morzorośtów* czyli glonów morskich. Dla podtrzymania życia roślin potrzebne są również promienie słońca, lecz przekonano się ostatnimi czasy, że światło z trudnością przenika przez warstwy wodne; na 400 metrów głębokości w morzach, dochodzi już tak mała ilość światła i ciepła, iż zieleni nie może rozkładać kwasu węglanego. Zielone rośliny nie są w stanie zatem żyć się na tej głębokości i znikają zupełnie.

Wraz ze zniknięciem roślin zmieniają się zupełnie warunki życia dla zwierząt: w głębokich warstwach morza mogą istnieć tylko zwierzęta *mięsożerne*, to jest żywiące się kosztem innych zwierząt. Natomiast zwierzęta *roślinożerne* zmuszone są mieszkać w przybrzeżnych warstwach morza, tam gdzie jest obfita roślinność. Wtrąćmy jednak nawiasem, że rośliny dostają się i do najgłębszych miejsc w morzu; zostają one tam zawleczone po części przez zwierzęta mięsożerne, a po części bezpośrednio spadają z powierzchni morza. Tym sposobem nawet zwierzęta ukryte w przepaściach oceanicznych dostają pokarm roślinny.



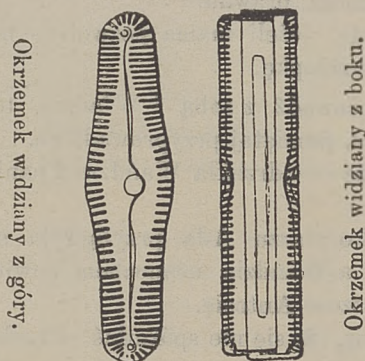
Glon zielony (*Ulva*) $\frac{1}{5}$ wielkości naturalnej.

Głony rosnące w morzach miewają najrozmaitsze kształty, rozmiary, a zwłaszcza rozmaite barwy, posiadają one bowiem w swych tkankach, oprócz zieleni, rozmaite inne barwniki, pomieszane z zielenią i nadające im barwę niebieską, zieloną, brunatną, czerwoną i inne. Botanicy rozróżniają zwykle następujące gromady glonów: *zielenice*, *okrzemki*, *ciemnice*, *morszczyny* i *krasnorosty* *).

Głony zielone i niebieskie potrzebują najwięcej światła i dla tego rosną najbliżej powierzchni morza; nieco głębiej

napotykamy glony brunatne, a najgłębiej wreszcie rosną glony czerwone.

Pomówimy teraz o niektórych ciekawych morzorościach i zaczniemy od okrzemek.



Okrzemki są to drobnicuchne, najczęściej mikroskopijne roślinki, niezmiernie ciekawe. Sądząc z pozoru prędzej zaliczylibyśmy je do niższych zwierzątek, niż do roślin. Odnacza się tem, że są zbudowane jak pudełeczka, składające się z dwu połówek równoległych t. j. z podstawy i wieczka (Ryc. 1 i 2). Wieczko zachodzi bardzo głęboko swymi brzegami na podstawę tak, iż dochodzi prawie do jej dna. Wewnątrz pudełeczka znajduje się kleista masa, w której pod szkłem powiększającym ujrzeliśmybyśmy małe gałeczki zieleni. I oto cała roślina. Niema tu ani śladu korzenia, łodygi lub liści. Pudełeczko jest powłoką tej dziwnej roślinki, jest ono twarde i tak mocno skrzemieniałe, iż jeżeli go w silnym ogniu wypalić i zniszczyć kleistą masę, to pozostanie szkielet zachowujący najzupełniej pierwotny kształt roślinki.

Okrzemki bywają nie tylko w postaci skrzynek lecz miewają najrozmaitsze kształty, jako to: krążki, piramidy, pałeczki, gwiazdki i t. p. Oprócz tego dna i wierzchy ozdobiłone są niezwykle pięknymi i delikatnymi deseniami, od których trudno oczu oderwać.

Okrzemków pełno we wszystkich morzach; żyją one na większych glonach, na skalach, na muszlach i t. p. W zimnych strefach okrzemki są tak obfite, że woda staje się przy nich gęstą jak zupa. Gdy zarzucić gęstą sieć w taką wodę, to napełnia się ona galaretowatą masą; jeżeli masę wycisnąć rękami, wówczas zostaną same szkielety tych mikroskopijnych glonów.

W morzach strefy umiarkowanej i ciepłej, okrzemki również istnieją, ale w mniejszej ilości, natomiast żyją tam inne drobnicuchne wodorosty niebieskiej barwy (*Oscillaria*). Podczas wyprawy statku *Challenger* przyrodnicy zauważyli niezmierną ilość tych roślin między Australią a Nową Gwineą. Na Atlantyku widzieli oni znowu inne roślinki, które połyskiwały w wodzie jak blaszki srebra (*Trichodesmium*). Takiemi to pięknymi roślinami żywią się najniższe zwierzęta, a same z kolei służą za pokarm wyższemu zwierzętom.

Do osobliwości okrzemek i to jeszcze zaliczyć należy, że są one obdarzone ruchem, tak jak zwierzątka. Całe życie okrzemki pływają, a raczej pełzają po różnych wodorostach, po skalach, piasku i innych przedmiotach na dnie wody leżących. Gdy świeci słońce, wówczas wypływają na powierzchnię wody w tak wielkiej ilości, iż morze przybiera od nich jaskrawe barwy: tu widzimy pas ciemno-szafirowy, ówdzie brunatny, dalej szaro-zielony. Zjawisko takie zauważył Nordenfjöld koło Szpitzbergu.

Kończąc nasze opowiadanie o okrzemkach dodajemy jeszcze, że te maluczkie roślinki nie tylko w życiu mają ważne znaczenie jako pokarm dla licznych zwierząt, lecz i po śmierci odgrywają ważną rolę na naszej ziemi. Szkielety ich spadają wciąż na dno wody i przez wieki może ich się tyle nagromadzić, że tworzą grube nawet ławice. Tym sposobem okrzemki przyczyniają się do budowy skorupy ziemskiej.

*) Patrz: *Botanika szkolna* cz. II J. Rostafińskiego.

MOSSUL.

Z DZIEJÓW RÓŻY.

Miasto wschodnie, które tak malowniczo przedstawia się na podanej rycinie, zawdzięcza swoje imię, cienkiej, przejrzystej tkaninie bawełnianej, znanej w całym świecie pod nazwą muślinu, która po turecku nazywa się „mossul”. Istniały tu niegdyś sławne fabryki, wyrabiające w ogromnej ilości wspomnianą tkaninę, mającą wziętość po wszystkich rynkach europejskich, lecz od czasu jak wzrastające udoskonalenia fabryczne w Anglii, podkopały ten rodzaj miejscowego pomysłu, nie tylko muśliny, ale inne wyroby z metalu i skóry, jakimi dotąd Mossul słynął szeroko po świecie, zaczęto produkować w znacznie mniejszych partjach zastoso-

Wtóż nie zna róży, ozdoby ogrodów i mieszkań ludzkich, przemawiającej do zmysłów objawem prawdziwego piękna, zarówno pod postacią dzikiego krzewu obrastającego przydrożne płoty, jako i cudnego kwiatu centyfolii, królującego nad wszystkimi innymi nieporównanym wdziękiem i wonią?

To też od najdawniejszych czasów róża była przedmiotem ogólnego upodobania i odgrywała znaczną rolę w różnych obchodach i uroczystościach i nierzadko na złocistym tle chrześcijańskiej o niej legendy, przebija się jaskrawa nitka mitologicznej poezji.

Według świadectwa naszych botaników, pierwotną oj-



M o s s u l

wanych de ograniczonego potrzebami zbytu. Obecnie Mossul, jako stolica całego ejaletu, tegoż nazwisko w Turcyi Azyatyckiej, jest miastem liczącem około 20, 000 mieszkańców. Posiada wielkie mnóstwo meczetów i sławną szkołę mahometańską, oraz do piętnastu kościołów; był bowiem jeszcze przed niedawnym czasem stolicą duchowną chrześcijan w całej Mezopotamii.

Okolo 1848 r. odkryte i stwierdzone w okolicach jego szczątki starożytnej Niniwy, ściągają doń corocznie mnóstwo ciekawych turystów.

czynną różę były wschodnie stoki Kaukazu, gdzie do tego czasu, zwłaszcza w Persyi i Kurdystanie, znajdują się największe i najwonnejsze stulistne różę. Zdaje się więc że z Persyi róża przeniesioną została do Syrii, Palestyny i Egiptu, a następnie będąc już rozmnożoną w Grecyi, dostała się z kolei nad wybrzeża morza ródziemnego i do Włoch.

W wielu pogańskich obchodach i uroczystościach różę odgrywała nader ważną rolę.

Grecy poświęcali ją, jako najpiękniejszą, na cześć Wenus, bogini piękności, Bacchusa bożka wina a nadewszystko Flory, bogini kwiatów i wiosny.

Prawie we wszystkich miejscowościach, podległych potędze rzymskiego berła, obchodzono corocznie w maju wielką uroczystość róż.

Bogaci Rzymianie podczas swych uczt zbytkownych, lubili wieńczyć różami nie tylko własne głowy, ale nawet złociste misy i czary do wina. Różę była również w Rzymie

godłem milczenia. Powiedzieć coś komu: „Sub rosa”, (pod różą) znaczyło powierzyć tajemnicę.

W czasie niektórych odchodów religijnych i narodowych, wysypywano place i ulice różami, a przy pewnej uroczystości, żeglarskiej, wody jeziora Lukryjskiego niknęły prawie pod grubą warstwą delikatnych listeczków tych kwiatów.

Dycynizjusz, tyran Syrakuzy, rozkazał wyściełać niekiedy sale swego pałacu prawdziwym kobiercem z tymianu, róż i lilii i tarzać się po takowym z rozkoszą.

Jeden z historyków opowiada, że król Antyoch w swoich jedwabnych namiotach wyszywanych złotem i srebrem, kazał nawet podczas zimy wysypywać podłogi grubą warstwą listków różanych. Większego jeszcze zbytku pod tym względem dopuściła się sławna królowa Egiptu Kleopatra, która wyjechawszy naprzeciwko Antoniusza do Sylicyi, dawała przez kilka dni z rządu na cześć jego uczty w salach swego pałacu, którego marmurowe posadzki, na łokieć wysokości były usypane różami.

Na Wschodzie, kędy dziś jeszcze znajdują się nieprzejrzane okiem przestrzenie zasadzone różami, przeznaczonemi do wyrabiania kosztownego olejku i wody różannej pocie opiewali jej piękność.

Chrześcijaństwo z tryumfem krzyża na całym świecie zdobić zaczęli wieńcami róż ołtarze Matki Boga Człowieka, tej prawdziwej róży duchownej, napełniającej Niebo i ziemię, wonią cnót swoich. Długie zaś sznury paciorków, na których wierni prostaczkowie liczą paciérze przezwano różańcami.

We wszystkich gałęziach sztuk pięknych, a nawet w rękodzielnictwie i rzemiosłach spotykamy kwiaty róży i jej liście w najrozmaitszych postaciach. A jednak znajdowali się ludzie, którym zapach róży był wstrętnym. Do takich należał uczony kardynał Oliwier Caraffa, który corocznie opuszczał Rzym w czasie kwitnienia róż, aby się z nimi nie spotkać. Jeden z dożów weneckich udając się do kościoła, rozkazywał służbie uprzątać ztamtąd wszelkie bukiety i wieńce róż, ponieważ nabawiały go bólu głowy. Katarzyna de Medicis, matka Henryka księcia Andegawskiego, znanego u nas pod nazwiskiem Walezyusza, nie mogła znieść widoku róży, nawet malowanej.

Smutne wspomnienie wojny domowej która niszczyła Anglię XV wieku, z powodu współzawodnictwa rodów Yorku i Lancastru łączy się z różą białą i czerwoną, którym te kwiaty służyły za godło do walki; lecz za to złota róża, jest oznaką najwyższego uznania Namiestnika Chrystusowego, dla pobożnych i enotliwych księżniczek i królowych.

więźniowie nie umknęli, ale ty, młody chłopak, prawie dziecko? I cóż ty poradzisz kratom w oknie, albo straży, która dzień i noc czuwa przy drzwiach? A to najgorsze, że ja i Tomasso będziemy musieli zostać z tobą, aż kapitan wróci ze swojej wyprawy, może to potrwa trzy tygodnie, a może i cały miesiąc!

— Lepiejbyś milczał Filippo—zburczał go towarzysz—wечно gadasz i gadasz. Kapitan wybrał nas, a nie innych, bo nam ufa.

— Może tak samo zaufać byle komu, każdy mu będzie wierny, ponieważ inaczej czeka go szubienica.

Gdy tylko dozorca wyszedł, Franciszek odkopał swój sztylet i próbował czy nie uda mu się odłupać żelaznych okuć u rąk. W istocie po chwili odkoczył mały kawałek metalu. Franciszek spojrzał zaniepokojony na klingę, ale nie dostrzegł żadnej szczyby. Był teraz pewien, że powoli uda mu się odłupać wystające części okuć i w ten sposób uwolnić ręce.

Obejrzał następnie łańcuchy przy stopach i pokazało się, że żelazo ich było znacznie twardsze, i że go sztylet nie miał. Ale to mu nie odebrało odwagi, bo wiedział, że jeśli uwolni ręce, to będzie mógł łańcuchy uwiązać u nóg i choć to utrudni jego ruchy, nie uczyni ich przecież niemożliwymi.

XIII.

Wyprawa korsarzy.

Jak się tylko rozwidniło. Franciszek wziął się znów do roboty. Przekonał się wkrótce, że za parę godzin uwolni ręce, ale okuć na stopach nie chwycił sztylet. Trzeba było wyniszczyć coś innego. Wiedział on, że można przetrzeć żelazo o kamień. Obejrzał się na ściany swojego więzienia. Były zbudowane nie z cegły, jak wszystkie budynki afrykańskie, ale z kamienia; widocznie izba ta była przeznaczona na więzienie, a prędzej jeszcze na skarbczyk, gdzie bogaty kupiec przechowywał cenniejsze towary.

Ażeby się przekonać, czy kamień jest dość twardy, Franciszek połał ścianę wodą, i wzięwszy jedno ogniwo łańcucha tarł je przez jakiś czas, ukazał się na tem miejscu ślad błyszczący, co było dowodem, że kamień ścina żelazo.

Ale nie mógł trzeć okuć u stóp o ścianę; trzeba było znaleźć osobny kamień. Zaczął więc kopać sztyletem ziemię pod murem, ale przez długi czas nie znalazł. Robota szła wolno, bo sztylet był krótki, a powtórnie trzeba było ubijać ziemię na nowo i posypywać piaskiem. W końcu jednak pod drzwiami znalazł kilka ostrych kamieni, zaczął nimi trzeć okucia. Praca postępowała bardzo powoli, ale żelazo się ścierało; trzeba więc było tylko wytrwałości aby dojść do celu. Cały dzień pracował bez przerwy, nareszcie pod wieczór zdrętwiały mu palce i musiał odpocząć. Kiedy mu dozorca przyniósł wieczorny posiłek zapytał go, kiedy galera odpłynie.

— Dziś miała odpłynąć, ale kapitan zachorował na febrę. Sprowadził cyrulika z Tunisu, ażeby się jak najprędzej wyleczyć i byłby się zaraz kazał przenieść na okręt, gdyby nie medyk, który utrzymuje, że za najmniejszym zmęczeniem rzuci mu się krew z ran, i że wtedy za jego życie nie ręczy.

W nocy Franciszek musiał przerwać robotę, gdyż w ciży słysząc było każdy szmer, ale za to przez kilka godzin odłupywał sztyletem żelaza u rąk. Nazajutrz wziął się znów do tarcia, jak tylko się rozległo na dworze ćwierkanie koników polnych, a wieczorem żelaza zarówno u rąk i u nóg, były tak przepilowane, że kwadrans czasu starczył żeby pękły.

Dowiedział się od dozorca, że kapitan ma się znacznie lepiej, że go nazajutrz gdy się upał zmniejszy mają przenieść na okręt, i że statek odpłynie jak tylko zacznie wiać wiatr od łądu.

Po południu obaj dozorca weszli do więzienia i kazali mu iść za sobą. Zaprowadzili go do największego domu w miasteczku, gdzie mieszkał Mocenigo.

Lew świętego Marka

(z ANGIELSKIEGO E. A. Henty)

przekład K. F.

(Ciąg dalszy).

— Z takimi kajdanami, to i sztylet się nie na wiele przyda.

— To prawda, mógłbyś go sobie chyba pod żebro wsadzić.

— Chybabym usiadł, bo inaczej i toby mi się nie udało.

— Tak mój chłopcze. Nie moja to rzecz sądzić o postępowaniu kapitana, robię co mi każą robić, ale w każdym razie żal mi ciebie, że cię zakuto w żelaza, jak dziką bestię. Gdyby nasz kapitan wziął do niewoli Pisaniego, albo Zena, nie dziwiłbym się jeszcze, że się obawia aby mu tak ważni

— Posłałem po ciebie, ażebyś wiedział, że o tobie pamiętam — wyrzekł tenże do Franciszka. — Zemsta moja odwleka się nie z mojej winy, ale będzie tem słodsza. Dziś właśnie odpływam po córki Polaniego. Słyszałem, że od czasu mojego wygnania z Rzeczypospolitej, tyś się wkradł w łaski starego. Wiem wszystko co się działo w Wenecji i wszystko sobie zakarbowywałem, jako dług który ci mam spłacić. Ożenie się z Maryą i wtedy jej pokażę jak się umiem mścić na tych, którzy mi się sprzeciwiają. Będzie to nauka dla niej i dla ciebie. Błagać będziesz tysiąc razy o śmierć, zanim śmierć nadejdzie.

— Zawsze wiedziałem, że jesteś nikczemny, Ruggiero Mocenigo — rzekł Franciszek spokojnie — ale nie przyszło mi na myśl, żeby szlachcic wenecki stał się korsarzem i renegatem. Możesz porwać Maryę, ale ona nigdy nie zostanie twoją żoną, bo los siostry zależy od jej postępowania. Jak się Marya zabije, to ja się z Julią ożenię.

Kiedy Franciszek usłyszał śmiech pełen tryumfu, rzucił się na Ruggiera, ale zapomniał o kajdanach i padł jak długi na ziemię.

Weźcie go — rzekł Ruggiero — i pilnujcie jak oka w głowie. Wy mi za niego odpowiadacie.

— Gdyby nie to, że mi jeszcze nie wypłacono mojej części zdobyczy, tobym zaraz porzucił tę służbę. Już mam aż nadto groźb kapitana. Nie dosyć, że człowiek zbratał się z niewiernymi, jeszcze go traktują jak psa.

Franciszek zostawszy sam, wziął się znowu do pracy, i niebawem okowy były tak spiłowane, że starczyło tylko nacisnąć ażeby się otwały. Ale kajdan nie zdejmował, gdyż się obawiał, że może wejść który z dozorców; zresztą przed wieczorem nie mógł uciec.

Filippo przyniósł mu wieczerzę później niż zwykle; Franciszek słyszał przez drzwi, że się jego towarzysz gniewał, iż tak długo nie przyszedł go zmienić.

— Czy już wszystko gotowe do odjazdu? — Już cała załoga jest na okręcie. O dziewiątej przyjdzie łódź po kapitana, a ponieważ zerwał się mały wiatr pewnie zaraz odpłyną.

Dozorca odszedł, a Franciszek zjadłszy wieczerzę, otworzył sztyletem okucia, naprzód ręk, następnie nogi; wyprostował się i odetchnął swobodnie. Potem podniósł kajdany i zaczął nimi brzęczyć.

Po chwili usłyszał kroki za drzwiami, zgrzyt zamku i drzwi się otworzyły.

— Co to ma znaczyć? — zapytał wchodząc Filippo. — Czy już wszystko gotowe do odjazdu? — Już cała załoga jest na okręcie. O dziewiątej przyjdzie łódź po kapitana, a ponieważ zerwał się mały wiatr pewnie zaraz odpłyną.

Dozorca odszedł, a Franciszek zjadłszy wieczerzę, otworzył sztyletem okucia, naprzód ręk, następnie nogi; wyprostował się i odetchnął swobodnie. Potem podniósł kajdany i zaczął nimi brzęczyć.

Po chwili usłyszał kroki za drzwiami, zgrzyt zamku i drzwi się otworzyły.

— Co to ma znaczyć? — zapytał wchodząc Filippo. — Czy już wszystko gotowe do odjazdu? — Już cała załoga jest na okręcie. O dziewiątej przyjdzie łódź po kapitana, a ponieważ zerwał się mały wiatr pewnie zaraz odpłyną.

— Jeżeli będziesz krzyczał, to cię wnet zabiję — przemówił szeptem.

Filippo czuł ostrze sztyletu na gardle i ani pisnął. — Nie chcę cię zabijać, Filippo — rzekł Franciszek — byłeś zawsze dobry dla mnie i dlatego nie ci złego nie zrobię. Trzymaj ręce nad głową, zwiążę ci je, a potem będziesz mógł wstać.

Teraz Filippo — rzekł Franciszek, kiedy mu skrepował ręce kawałem skreconego płótna — teraz zaknebluję ci usta a ręce przywiążę do kraty, abyś zębami nie mógł rozgryźć sznura. Przez noc nie ci się złego nie stanie a jutro rano znajdzie cię twój towarzysz.

— Wolałbym, żeby mnie pan od razu zabił, bo Tomasz nie zechce stracić swojej części ze zdobyczy i nie uwolni mnie aż do powrotu galery, a kapitan dotrzyma słowa. Niech mnie pan lepiej zabije.

— Cóż ja mam począć, Filippo, muszę przecież ratować własne życie. Znajdź inny sposób, to go chętnie użyję.

— Przysięgnę, na co pan zechce, że nie dam znać o pańskiej ucieczce, a sam przejdę na drugą stronę wyspy i odpłynę do Tunisu, zanim się Tomasso o czemkolwiek dowie.

— Dobrze Filippo, wierzę tobie, ale przysięgnij na co masz najświętszego.

— Niech pan idzie zemną, aż daleko za wieś i jeżeli tylko krzyknę może mnie pan przebić sztyletem.

— Nie Filippo, wystarczy mi twoja przysięga.

Filippo wezwał Boga na świadka, że nie chce zdradzić Franciszka i że natychmiast przejdzie na drugą stronę wyspy, aby się dostać na stały ląd. Franciszek przeciął jego więzy.

— Stracisz swoją część zdobyczy i musisz unikać spotkania z kapitanem, radzę ci więc wsiąść na pierwszy odpływający statek. Jeżeli kiedy będziesz w Wenecji, zapytaj o mnie, a ja ci wynagrodzę teraźniejszą stratę i postaram się, abyś mógł prowadzić uczciwe i spokojne życie. Ale tymczasem zamienimy suknie. Sprzedasz sobie moje w Tunisie i weźmiesz za nie tyle, że będziesz mógł kupić dwanaście takich ubrań, jak zwykle nosisz, lecz teraz podzielisz się ze mną pieniędzmi, bo ja nie mogę odpłynąć bez grosza.

— Dziękuję wam panie za waszą wspaniałość. Mielicie mnie w swojej mocy i od was tylko zależało, ażeby nie był w stanie wam szkodzić. Ale teraz widzę waszą szlachetność i choćbym nawet nie przysięgał, to i tak wam szkodzić nie będę i na dowód tego, dam wam dobrą radę. Nie wiem co zamierzacie dalej robić, ale dłużej pozostać tu nie możecie. Cała ludność jest oddana piratom i wynajdą was, choćbyście się pod ziemię schowali.

— Dziękuję ci, Filippo; ja przed wschodem słońca opuszczę wyspę, ale tymczasem mam niektóre sprawy do załatwienia i nie mogę ci towarzyszyć.

— Niech wam wszyscy święci pomagają i odprowadzą do domu. Ja mam nadzieję, że się wkrótce stawię w Wenecji, nie po zapłatę broń Boże, lecz ażebym z waszą pomocą mógł żyć uczciwie między chrześcijanami.

Tymczasem zamienili ubrania i podzieliли się sześciu dukatami, które Filippo zrabował prywatnie, na jednym ze zdobytch okrętów; potem wyszli z więzienia i zamknęli drzwi.

— Bądź zdrów Filippo, do zobaczenia w Wenecji.

Franciszek zeszedł na brzeg, lecz nigdzie nie dojrzał czółna, któreby mógł zepchnąć do wody. Po chwili jednak usłyszał plusk wiosel i nadpłynęła łódź rybacka, kierowana przez dwóch ludzi.

— Hola chłopcy! chciałbym się dostać na okręt. Już powinienem być oddawna na pokładzie, ale wypilem za dużo wina i zasnę. Czy moglibyście dopłynąć niepostrzeżenie do okrętu? Dam wam za to dukata.

— I owszem — odparli rybacy — my właśnie stamtąd wracamy i sprzedaliśmy nasz połów dzisiejszy. Siadaj, to cię zawieziemy.

Niebawem zbliżyli się do statku. — Widzę, że macie jeszcze ryby w łodzi — zauważył Franciszek.

— Tak, ale to są ryby bez wartości. Sprzedamy je biedakom, albo sami zjemy, bo na okręcie, gdzie mają tyle pieniędzy, nie zechcą ich kupić. Jeżeli masz ochotę, to je sobie weź.

— Dajcie mi parę bo chciałbym zrobić figla koledze. Około statku uwiły się jeszcze łodzie z owocami i drzewem i marynarze kupowali u przekupniów. Franciszek wręczył rybakom umówioną zapłatę i wszedł niepostrzeżony na okręt, gdzie się zniżył z tłumem majtków.

Powoli zbliżył się do otworu prowadzącego do wnętrza statku, zeszedł po drabinie i ukrył się pomiędzy beczkami z wodą i winem dziękując Bogu, że mu się tak dobrze powiodło.

Od czasu do czasu przychodzili ludzie z latarniami i układali coraz to nowe zapasy, ale nikt nie dostrzegł Fran-

ciszka. Czas mu się wydawał nieskończenie długi, aż w końcu usłyszał zgrzyt łańcucha u kotwicy, plusk wioseł i wtedy już wiedział, że okręt jest w drodze. Ułożył się jak mógł najwygodniej w swoim kacie i zasnął.

Kiedy się nazajutrz obudził, słońce wpadało przez kwadratowy otwór, który zamykano tylko w czasie burzy, gdyż co chwila trzeba było schodzić po żywność. Franciszek zapatrzył się w ryby, gdyż się obawiał, że nie będzie mógł dostać pożywienia, lecz nie potrzebował ich kosztować, ponieważ w jednym kacie leżał cały stos chleba, a na żerdziach wisiały najdoskonalsze owoce. Teraz cały dzień nie ośmielił się wyjść ze swojej kryjówki i dopiero gdy zmierzch zapadał wziął bochenek chleba, winogron i napiwszy się do syta wody, wrócił do swego kąta.

W ten sposób przeszło sześć dni. Po uderzeniach fali o boki statku; mógł zaraz wiedzieć czy statek płynie czy też stoi na miejscu. Parę razy w nocy odważył się wyjść na pokład bo w ciemnościach nie bał się, że go poznają. Siódmego wieczora usłyszał, że w dzień dostrzeżono Korfu; przez kilka godzin statek stał na miejscu, lecz teraz znów rozwinięto żagle i za dwie godziny miano wylądować.

Przygotowano łodzie i marynarze ustroili się od stóp do głów. Chociaż głównym celem Moceniga było porwanie panien Polani, postanowił skorzystać ze sposobności i zrabować bogatą wyspę. Dlatego też na statku miało zostać tylko kilku majtków, reszta zaś wyruszała na ląd.

Kapitan zupełnie zdrow, wybrał kilkunastu najdzielniejszych ludzi, reszta zaś miała się rozsypać po mieście i okolicach, grabić i podpalać. Wydano rozkaz, że o wschodzie słońca wszyscy mieli się zebrać w punkcie wylądowania. Jak daleko ten punkt leżał od miasta, o tem Franciszek nie mógł się dowiedzieć.

Na dnie statku, obok żywności, znajdował się cały stos broni. Franciszek wybrał miecz i szeroki sztylet i gdy tylko usłyszał ruch na pokładzie, wyszedł ze swojej kryjówki i połączył się z gromadą ludzi spuszcających łódź.

Była to wielka szalupa, mieszcząca około trzydziestu marynarzy. Franciszek wszedł do niej wraz z innymi i w towarzystwie jeszcze trzech łodzi odpłynął do brzegu. Tu korsarze wysiedli i formowali się pod wodzą oficerów. Franciszek wymknął się z pomiędzy marynarzy, ale że nie znał miejscowości, przykucnął za kamieniem i leżał cicho, aż usłyszał rozkaz: Naprzód.

Franciszek nie wiedział gdzie leży dom signora Polani ani też którą z pięciu band dowodził Mocenigo. Mógł zabłądzić, pójść w przeciwnym kierunku, a tymczasem Ruggiero porwie swoje ofiary i uwiezie je bezkarnie do jaskini zbójców. Nie pozostawało mu nic innego, jak wyprzedzić wszystkie oddziały i znaleźć przewodnika, któryby go zaprowadził do domu kupca.

Począł więc biedz i niebawem ujrzał światółko. Światółko to wychodziło z chaty, do której Franciszek dobiegł. Zastukał do drzwi i wszedł. Mąż, żona i kilkoro dzieci, wszystko to zerwało się z ławy na widok nieznajomego.

— Przed chwilą wylądowałem — rzekł Franciszek udając spokój i niosąc ważne wiadomości dla signora Polani. Zabłądziłem w nocy. Czy nie moglibyście mi powiedzieć gdzie jest willa Polanich?

— Ze trzy mile stąd.

— Dam dukata waszemu synkowi, jeżeli mnie zaprowadzi.

Rodzice popatrzyli na Franciszka z wahaniem. Nie wyglądał on na człowieka, który może rozdawać dukaty.

— Patrzcie, oto jest pieniądz, dam go wam zaraz, jeżeli każecie waszemu chłopcu mnie zaprowadzić.

— Tak to i owszem — rzekł mężczyzna — Ruffo, idź zaraz z panem.

— Chodź chłopcze — rzekł Franciszek i nie żegnając się z rodzicami wypadł na podwórze.

Nic nie wspomniał wieśniakom o korsarzach, bo w takim razie myśleliby o ucieczce, a nie o prowadzeniu go w ciemnościach. Zresztą im nic nie zagrażało. Piraci najadali na bogate wille; gdzie spodziewali się znacznych łupów, ale zostawiali w spokoju biednych chłopów, którzy w wielu miejscach byli im nawet przychylni.

Przez cały czas nie przemówili ani słowa; chłopak biegł naprzód i dziwił się, że nieznajomy tak śpieszy.

— Jak jeszcze daleko? — zapytał wreszcie Franciszek.

— Niedługo będziemy. Już widać światła, a tu brama.

Franciszek zastukał ręką od miecza, a gdy mu natychmiast nie otworzono stukał coraz mocniej.

— Kto tam? — zapytał gniewny głos nad nim.

— Franciszek Hammond, otwieraj natychmiast! okropne niebezpieczeństwo grozi twoim paniom. Spiesz się jeśli ci życie miłe.

Służący poznał głos Franciszka i pobiegł odsunąć zasuwę. Franciszek wbiegł do oświetlonego pokoju wołając:

— Gdzie są panie, prowadź mnie zaraz do nich.

Tu drzwi się otworzyły i Signor Polani z dziewczętami stanął w progu. Twarze ich zdradzały radość i zdziwienie, ale Franciszek nie pozwolił im przemówić.

— Uciekajcie, bez chwili zwłoki, Ruggiero Mocenigo pędzi za mną z dwudziestu rozbójnikami.

Dziewczęta krzyknęły przerażone, a kupiec zawołał:

— Czyż nie obronimy się w domu? Mam ośmiu ludzi i wytrzymamy aż pomoc nadejdzie.

— Ruggiero będzie miał stu, jeżeli zechce. Na miłość Boską uciekajcie. Oni za chwilę tu będą.

— Chodźcie, dziewczęta — rzekł signor Polani — i wy także — dodał zwracając się do służących — zamknijcie drzwi, zanim się dobiją będziemy mieli kilka chwil zyskanych. Którą drogą nadchodzą?

— Franciszek pokazał z kądem przyszedł i wszyscy puścili się w przeciwnym kierunku. Parę minut później rozległo się mocne stukanie i dobijanie do drzwi.

— W czas uciekliśmy — zauważył Franciszek — ale musimy się jeszcze oddalić.

Znaleźli się niebawem poza granicą posiadłości Polanigo i kupiec zwolnił kroku.

(d. c. n.)

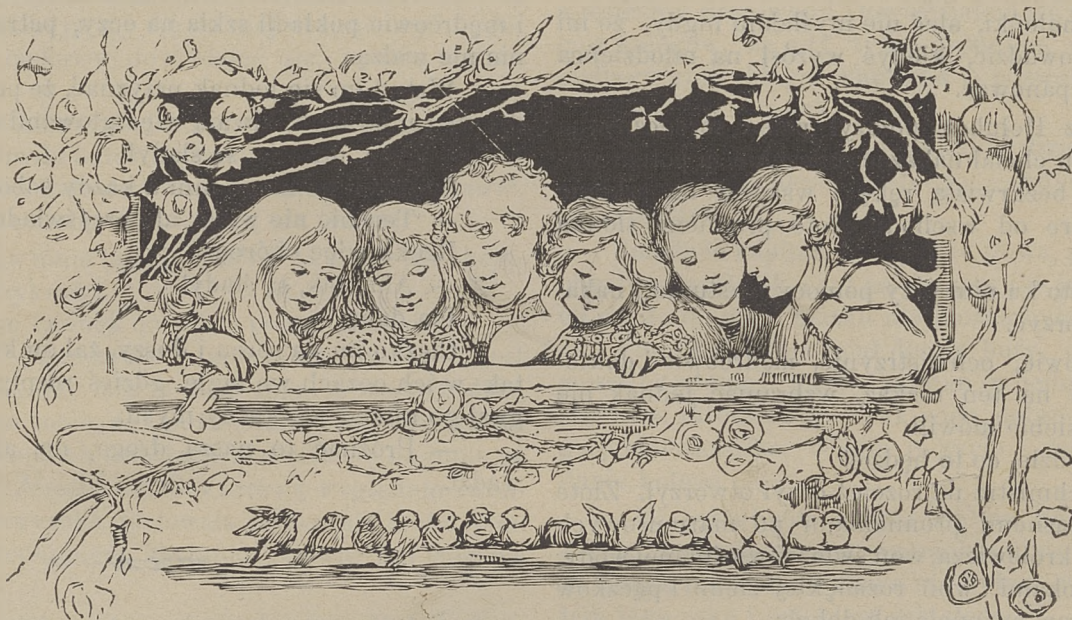
PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Nieznajoma z poddasza, powieść przez Bronisławę Porawską. — Życie w oceanie (z drzeworytami). — Mossul (z drzew.) — Z dziejów Róży — Lew świętego Marka (przekład K. P. z angielskiego G. A. Henty). (z drzew.) — **Dodatek:** Ptaszki i dzieci, wiersz p. M. D. (z drzew.) — Baśń o królewiczu Hołubku, rozsianem ziarnie i dobrotliwym pasterzu p. Z. Morawską. — Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich, przełożyła M. B. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Orla skała powieść miss K. Yonge przekład T. O.

WIECZORY RODZINNE



PTASZKI I DZIECI.

Kiedy na wiosnę słonko jaśniej świeci,
Cieszcie się ptaszki i cieszcie się dzieci,
Bo już nadeszła ta szczęśliwa pora
Ruchu i życia z ranka do wieczora.

Ptaszki i dzieci! Wam swoboda miła
Dla was znów wiosna do kraju przybyła,
Dla was promienie złociste Bóg daje
I kwiatki kwitną i płyną ruczaje.

Ptaszki i dzieci! Zimowa niedola
Już się skończyła; lasy, łąki, pola,
Chętnie swobodzie waszej się oddają,
Dla was się w świeżą zieleni przybierają.

Ptaszki i dzieci! Radosnymi głosy
Śpiewajcie piosnki w górę pod niebiosy,
Na cześć i chwałę Stworzyciela Pana
Z którego woli znów wiosna wam dana.

M. D.

BAŚN

O KRÓLEWICZU HOŁUBKU, ROZSIANEM ZIARNIE I DOBROTLIWYM PASTERZU.

p. Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

A piastunka wkładała na królewicza Hołubka owe
lniane szaty i lzy polykała, myśląc sobie:

— Ostatnić raz to giezłeczko i te lniane szatki na
niego kładę, boć oto znać śmierć zajrzała mu w oczy.

— Aleć trzeba biedactwo godnie na ostatnią drogę
opatrzyć!

To mówiąc, chciała mu wsypać w kieszonkę zboża,
żeby tam w drodze do wieczności głodu nie zaznał.

Długo jednak się krzątała, nim znalazła garstkę ziar-

na, toć w złocistym pałacu wszystkiego można było do-
stać, jeno zboża nie było.

Przetrzęsnęła swoją skrzynkę, i tam znalazła po tro-
chu wszelkiego zboża, co je dla siebie na śmiertelną drogę
chowala.

— Oddam mu, bo i jakże go bez należytego opatrze-
nia wypuścić! — rzekła, wsypując mu ziarno do kie-
szonki.

I przyodziła królewicza w owe lniane szatki, a kró-

lewicz Hołubek uśmiechał się i miał tak rozpogodzoną twarzyczkę, jakiej już oddawna nikt u niego nie widział.

Stał królewicz Hołubek, odziany, i iść próbował, ale nogi się pod nim chwiały i nie mógł prawie kroku postąpić.

Więc go piastunka podtrzymywała, wzdychając:

— Oj, prowadziłam ci ja ciebie królewiczu mój, kiedyś był jeszcze mały, ale nie myślałam nigdy, że mi cię przyjdzie prowadzić, kiedyś wyrósł na młodzieńca i masz nad nami panować.

A królewicz Hołubek położył palec serdeczny na ustach, jakby ten chciał nakazać milczenie, a potem wyciągnął chudą, bezkrwistą rękę i wskazał na szklane drzwi, przez które od wschodu złote promienie słońka wchodziły.

I szedł prosto ku nim przy pomocy piastunki i nakażał drzwi te otworzyć.

Szambelanowie, ochmistrzynie, mędrcomie i doktorzy aż struchleli na ten rozkaz, wzbraniać jednak nie śmieli, tylko do siebie mówili:

— Co to będzie, co to będzie!

A wielki ochmistrz na rozcież drzwi otworzył. Złote słońce suwało jasnymi promieniami po marmurowych schodach zamku królewicza, woń świeżej wiośnianej wody, co szumiała potokami, woń rozmięklej ziemi i pączków nierozwitych drzew owionęła ich dokoła.

Ptaszki zaświewały w dali, zabrzęczała muszka. zahuczała spiesząc na robotę pszczoła, a królewicz Hołubek uśmiechnął się i od bardzo, bardzo dawna, lżej i swobodniej odetchnął.

I wcale rażno zstępował po marmurowych schodach swego wspaniałego zamku; promyki słońka obejmowały go dokoła, a duszę jego chorą, znękaną bezczynnością i nudą napełniało jakieś uczucie wcale mu dotąd nieznanie.

Z marmurowych schodów królewicz Hołubek zstąpił na rozmięklej ziemi; szambelanowie, ochmistrzynie, mędrcomie i doktorzy dech powstrzymali ze zdziwienia, a kiwając po swojemu głowami, mówili:

— Co to będzie, co to będzie?

Nie wstrzymywali jednak królewicza, dali mu już na wolę.

Pozostali nawet w pewnej odległości, ba, boć nawet zdążyć za nim nie mogli.

Królewicz bowiem wysunął się z objęć piastunki a co krok postępował rażniej i rzeźwiej po rozmięklej ziemi, usteczka odchylił, chwycił wonne powietrze a słońko tak go swemi promieniami objęło, iż zdawało się, że go niesie w powietrzu, jakby na skrzydłach.

Piastunka chce go powstrzymywać, ale gdzie jej tam, zdążyć za swym Hołubkiem nie może, siły też nie ma po temu!

Bieży królewicz Hołubek, aż wśród tych złotych promieni znikł z oczu piastunce i całemu swojemu dworowi.

— Rozpłynęło się w słońku jego wątłe ciało — rozpacz piastunka.

— Wiatr wiosenny zmiótł go z przed oczu naszych — mówią smutnie szambelanowie i ochmistrzynie.

— Wody co tak rozlały po polach, zabrały go w swo-

je potoki — utrzymują, kiwając głowami mędrcomie i doktorzy.

— Ale jakżeby się rozplątał w słoneczku, jakżeby go wiatr uniósł na skrzydłach, jakżeby go potoki wodą zalały, kiedyć na roli, na mokrej, widzę ślady mego królewicza Hołubka — woła nagle piastunka.

A więc szambelanowie, ochmistrzynie, doktorzy i mędrcomie pokładli szkła na oczy, patrzą, szukają, ale nie widzą.

Wstyd im się jednak przyznać, że prosta kobieta widzi więcej od nich; kiwają więc głowami a jeden rzekł:

— Aha, prawda, są ślady!

Spojrzeni na niego inni a każdy sobie myśli:

— Ten nie nie widzi, ale przyswiadczyć nie wadzi.

Rzekli więc chórem:

— Aha, tak, są ślady!

Idą dalej.

Ciężko im na sercu i duszy, żal im królewicza, co się tak w ich oczach we mgle gdzieś rozplątał, każdy pragnął go ujrzyć, ale każdy myśli:

— Próżnać to nasza droga, no, aleć poszukać nie wadzi.

(c. d. n.)

Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich.

przełożyła M. B.

(Dalszy ciąg).

Biedna Melcia nie mogła myśli oderwać od tego ojca, tak bardzo ukochanego, i teraz patrząc na deskę i znajdujący się na niej napis, wystawiała sobie, iż to ojciec z poza grobu chociaż w ten sposób przypomina się pamięci swych dzieci!

— Chodź Iwonku — rzekła wreszcie — ale ja się dziś bawić nie chcę. Czekać cię będę na schodach; nogi tak mam ciężkie, że ledwo ruszać niemi mogę. A zresztą, kiedy zobaczyłam szczątki naszej łodzi przyniesione tutaj przez morze, zdawałoby mi się, że bawię się na cmentarzu.

— Och, nie wymawiaj tego słowa, Melciu! to takie smutne słowo. Pamiętam, jak byliśmy jeszcze w domu, wiele razy szedłem koło cmentarza, zamykałem oczy co prędzej, bo słyszałem parę razy, jak stary Jakób opowiadał, że widział tam na własne oczy ogromne, białe duchy, wyższe od wieży kościelnej. Ale tutaj duchy nie będą się pokazywały, nieprawdaż siostrzyczko?

— Nie, nie bój się! Gdyby duchy mogły dowolnie chodzić po ziemi, to z pewnością mama lub ojciec przyszliby do nas i zaprowadziliby do cioci Genowefy.

— Jednakże, wiesz co Melciu, nie jestem zupełnie spokojny... lepiejbyś zrobiła nie wspominać o cmentarzu. Jeżeli chcesz to chodźmy na górę... Boję się, żeby z pod drzewa nie wyszła jaka postać, bo nużyby wlaźła na górę i usiadła na balkonie, cóżbyśmy wtedy zrobili?... Wejść ani sposobu, bo strach, a w grocie jest rondel, ma sło... umarlibyśmy z głodu na dole!...

— Daj rączkę Iwonku i pójdziemy na górę, przeczytam ci jakiś kawałek z historii świętej, będzie to odpowiednia rozrywka na dzień dzisiejszy.

Dzięki zmienności uczuć w tak młodocianym wieku, Iwonek zapomniał wkrótce o swoich strachach i chwytając rękę Melci, zawołał:

— Melciu! czyś ty zapomniała o szkatułce zakopanej w tej kryjówce, kiedyż my się do niej dostaniemy?... Jestem strasznie ciekawy dowiedzieć się, co tam jest takiego!

— W dniu takim jak dzisiejszy, bawić się nie powinien; przed chwilą bałeś się wszystkiego i byłeś bliski płaczu.. A lepiej było dziś płakać, niż chcieć się bawić. Chodź-że, wcale z ciebie zadowolona nie jestem.

— Dlaczego mnie łajesz, Melciu? ja wcale nie chciałem ci zrobić przykrości.

I tym razem Iwonek na dobre począł płakać.

— Biedny chłopczyzna — pomyślała Melcia — jest młodszy odemnie, trzy lata to duża różnica wieku u dzieci. Przypominam sobie, że i ja trzy lata temu, prędko zapomniałam o wszelkich smutkach... a nikt się na mnie za to nie gniewał. Jestem zanadto surową względem Iwonka. I dobra siostrzyczka ucałowała serdecznie brata, obiecując, że po skończonem czytaniu opowie mu ciekawą bajkę.

Nie zapomniał obietnicy Iwonek. Gdy Melcia skończyła czytać, zaraz zawołał:

— Obiecałaś mi bajkę, siostrzyczko, czy mi ją opowiesz?

— Opowiem ci, ale wiesz co, nie bajkę, tylko zdarzenie, które mi ojciec kiedyś opowiadał. Byliśmy na morzu, czas był przesłiczny, łódka nie poruszała się nawet, sieci były założone, czekaliśmy, aż się ryby złapią, wtedy ojciec zaczął mówić: „Było to w roku, w którym kończyłem służbę moją na statku. Dnia pewnego morze było wzburzone, a mnie wyleczonemu zaledwo ze zwiehnienia nogi, polecono bardzo trudne zajęcie około masztu. Wtem noga mi się usuwa i wpadam do morza!... Pływałem jak ryba; ale fale były wysokie, wiatr w oczy, gęsta piana twarz zalewała... rzucili mi linę, nie mogłem jej uchwycić...

— I cóż ojciec zrobił, utonął? — zapytał wzruszony Iwonek.

— Ależ Iwonku, co ty wygadujesz, jakże ojciec mógł utonąć, przecież to było wtedy zanim się jeszcze z mamą ożenił!

— Ach! jakież ja jestem głupi, ale mów dalej, to ciekawsze jeszcze od bajki!

— ...Miałem nadzieję — mówił ojciec — że się statek zatrzyma, niestety, była to płonna nadzieja, statek mknął dalej... Szalupy w taki czas trudno też było spuścić na morze. Miałem się za straconego!... Wprawdzie po wielu wysiłkach, zdołałem utrzymać się na powierzchni wody, płynąc to pionowo, to na plecach, wtem spostrzegam, że człowiek jakiś rzuca się z pokładu i płynie w moją stronę... Ubrany w ciężkie sukno... jeden z oficerów! a gdy się przybliży rozpoznaję w nim podporucznika Kerdrenc... najlepszego i najodważniejszego ze wszystkich naszych zwierzchników, wzbudzał on w nas nie tylko szacunek,

ale prawdziwe przywiązanie... Dobyłem sił ostatka i zwróciłem się ku niemu.

— Czy statek się zatrzymuje? — zapytał.

— Zdaje mi się, że się nie oddala.

I rzeczywiście ujrzelśmy, że łódź spuszcza na morze i dziesięciu ludzi bierze za wiosła, z wielkim wysiłkiem, miotani falą, zbliżają się ku nam, chwila jeszcze, a jesteśmy uratowani! Dowiedziałem się później od jednego z kolegów, że gdy tylko wpadłem do wody, zaczęły podporucznik błagał kapitana o pozwolenie spuszczenia łodzi, na mój ratunek.

— Morze zanadto niespokojne, bym narażał dziesięciu ludzi dla ocalenia jednego, — gdyby to był oficer, to rzecz inna!

Zaledwie kapitan wyrzekł te słowa, podporucznik bez chwili namysłu skoczył na parapet i w jednej chwili rzucił się do morza. Statku nie można było zatrzymać odrazu. Pan Kerdrenc miał długie buty, ciężkie ubranie... musiałby utonąć, gdyby kapitan w jednej chwili nie posłał łodzi ratunkowej! Tak więc, dobroć i odwaga naszego podporucznika, ocaliła ci życie — zakończył opowiadanie kolega.

W tej chwili ukazał się na pomoście pan Kerdrenc, zmieniwszy już przemokłe ubranie. Podszedłem do niego, przemówić słowa nie byłem w stanie, ucałowałem jego rękę i uciekłem jak złodziej!

— Czyby ojca ukarali, za pocałowanie oficera w rękę? — zapytał Iwonek.

— Nie, tylko ojciec był bardzo wzruszony, łzy mu się do oczu cisnęły, a nie chciał płakać przy ludziach. Jak też ojciec kochał tego oficera!

— A co się z nim stało?

— Niewiadomo, pojechał bardzo, bardzo daleko...

— Czy jak kto pojedzie bardzo daleko, to już nigdy nie wraca? — zapytał Iwonek.

— Powraca, ale nie zawsze.

— To ja pojedę tylko trochę daleko, i ty musisz jechać także na moim statku, Melciu, bo ja bez ciebie nie mógłbym się już nigdy obejść... A później? Czy niema końca tej historii?

— Nie, bo później ojciec powrócił, ożenił się z mamą, dał mu Pan Bóg dziecię...

— I nic mu się więcej nie wydarzyło?

— Niestety, wiesz przecie i pamiętasz, że nam go to szkaradne morze zabrało!

— Ale ciebie siostrzyczko, nie zabierze nigdy... Będzie mi się to wszystko śniło w nocy, za wiele smutnych rzeczy opowiadałaś mi dzisiaj! Na pociechę zrób dobry obiad, to zapomnimy trochę o naszych zmartwieniach.

Melcia uśmiechnęła się pomimowoli z tej lekko-myślności braciszka, który w dobrym obiedzie znajdował pociechę.

Nazajutrz rano, Iwonek jak zwykle zapytywał, czem się zajmą dzisiaj?

— Trzeba koniecznie zobaczyć, co się znajduje w zagłębieniu skały — rzekł. — Tylko w jaki sposób dostaniemy tę szkatułkę? Mówiłaś, że się ruszała... więc może nie będzie trudno ją wydobyć.

— Będę musiała sporządzić kij z haczykiem, żeby

można było czem ją zaczepić... Wiem nawet jak zrobić, do kija przywiążę obręcz baryłki dwoma końcami, będzie można doskonale tem sobie dopomódz.

Gdy przyrząd był sporządzony, dzieci zeszyły na dół.
(d. n.)

SZARADA.

Ułożył Amador.

Pierwsze i trzecie dobrze jest znane.
Czy to pisane czy drukowane
Wspak *drugie z trzeciem* będzie zwierzątkiem
Niezbýt roztropnem, choć nie cielątkiem,
Wszystko nas żywi i dobre w smaku
Dzy je zerwiemy z drzewa czy z krzaku.

REBUSIK.

od Ułana z T. dla Narcyza z Atl.

mek	na	elu	elu	elu	elu	kra	kra	kra	kra
		elu		wa	elu	kra		kwie	kra
		elu			elu	kra			kra
		elu	eu	elu	elu	kra	kra	kra	kra

ROZWIĄZANIA DO N-ru 16-go.

Zagadki: Kama, tama, rama, lama.

Łamigłówki sylabowej:

- 1) Laponia. 2) Etna. 3) Wrona. 4) Sumatra. 5) Węgorz. 6) Iskra. 7) Elba. 8) Tytan. 9) Elbląg. 10) Grünwald. 11) Owca. 12) Mozela. 13) Ateny. 14) Rodos. 15) Kair. 16) Alger.

Lew świętego Marka.

Łamigłówki liczbowej:

6	8	7	6	3
4	7	3	9	7
4	7	5	4	10
6	3	7	8	6
10	5	8	3	4

Skrzynka do listów.

Miłą nam jest bardzo radość, jakiej doznał *Krakowiak* z odpowiedzi w Wieczorach, zawsze bowiem z prawdziwą przyjemno-

ścią po ożumiwamy się z naszymi korespondentami. „Orla skała” nie prętko się jeszcze skończy, drukowana po niej powieść będzie równie zajmującą. Próbę kaligrafii *Krakowiak* może przysłać przed dniem **15 maja**, jako ostatecznym terminem. Kwadrat magiczny, o ile okaże się dobrym, wydrukujemy.

Stasia R. zajmuje widocznie nauka mineralogii, skoro zapytuje nas o dawny stan górnictwa w kraju. Dopiero około XI wieku zaczęto u nas pracować w kopalniach; poszukiwano głównie soli, ołowiu, żelaza, srebra, zasłynęły kopalnie soli w Wieliczce i Bochni, ale miejscowością najbogaciej w kruszce uposażoną był Olkusz znany już z kopalni mineralów w r. 1262. Początkowo wydobywano stąd ołów jedynie, później srebro.

Usprawiedliwiamy milczenie *Ułanki* z nad Kaniny, wszelkie bowiem zajęcia i przyjemności ustąpić muszą przed obowiązkiem pielęgnowania chorych. Mamy też szczere współczucie dla dobrej wnuczki, opłakującej stratę ukochanej babuni.

Łamigłówki swego układu nadesłali, *Wróbelk*, *Wacław F.*, *Gustaw J.* i *Juljan W.*; niektóre z nich przecież podobne są do tych, które już drukowane były.

Trafnie rozwiązali łamigłówki z przeszłych numerów *Wieczorów:* *Niezapominajka* z nad Sanu, *Gustaw J.*, *Juliusz J.*, *Rybak* z nad Wisły, *Wesoła Figlarka*, *Leonek S.*, *Lutek* i *Witek*, *Reginka S.*, *Manusia J.* z Wilna i *Świerczek*.

Czy liścik *Wróbelka* tak starannie napisany Redakcyja ma uważać jako próbę pisma? W każdym razie miłym mi jest twe widoczne zamilowanie do akuratałości i porządku i cieszę się obietnicą poznania cię kiedyś osobiście, kochany ptaszku.

Próby pisma *Stefci* i jej rodzeństwa oddałam Redakcyi, żałuję jednak, że przyjęte pewno nie będą, gdyż żadna niema dołączonego adresu, mimo, że warunek ten zawsze Redakcyja sobie zastrzega.

Nie lubisz wczesnego wstawania *Maryleiu G.*, a utrzymujesz, że najweselsiej wtedy właśnie zaczynasz się bawić gdy cię spać zapędzają. Przestrzedz cię przecie muszę, że należy przezwycięzać to niezgodne z higieną upodobanie. Doświadczeni ludzie utrzymują, że sen przed północą najlepiej na zdrowie wpływa i dlatego może zowią go: „snem złotą i piękności”. Najłatwiej też całonocowi pracować rano, ze świeżym, wypoczętym umysłem.

Wdzięczną ci jestem *wesoła Figlarko* za objawy sympatyj; nie zwykłam w odpowiedziach zalegać, przerwa zatem w korespondencji nie z mojej winy pochodzi. Przekładając nadewszystko to co proste, naturalne, niewyszukane, radziłabym ci może inny wybór na próbę o której wspominasz, wszak prostota w każdym względzie największy powab młodości stanowi!

Jaskółka.

NA KOLONIE LETNIE ZŁOŻYLI:

Reginka M. rs. 1. *Żabka teterowska* rs. 1. *Helenka S.* ubrania.

Na zakład nieuleczalnych kalek przy ul. Dzielnej Nr. 30 *Stefcia* i *Mania* rs. 1.

Na święcone dla biednych dzieci: *G. B.* kop. 50. *Bezimiennie* kop. 50.

Otrzymaliśmy zeszyt 3-ci „Encyklopedyi ilustrowanej wiadomości pożytecznych”, wydawanej przez księgarnię *M. Arcta*. Zeszyt ten zawiera wyrazy od „Bast” do „Brylant” i blisko 100 rysunków, tak, że w dotychczas wyszłych 3 zeszytach jest już 225 ilustracyj.